



BOGUSŁAW CHRABOTA

TAJNY ZAPIS W TESTAMENCIE ZDZISŁAWA NAJDERA

Zmarł Zdzisław Najder. Zmarł po cichu, bez większych fanfar. A był przecież bodaj jednym z ostatnich wielkich dysydentów, działaczem niepodległościowym, a przy tym wybitnym intelektualistą, człowiekiem wielkiej kultury. Uwikłanym zarazem w XX wiek, jak uwikłanych było wielu jego rówieśników.

Bardzo żałuję, że nie nagrywałem rozmów z nim. Mówił spokojnie, w sposób wyważony, nieledwie bez emocji. Próbowalem go namówić, by pisał swoje wspomnienia do „Rzeczy o Historii”. Zabrał się do pracy z entuzjazmem, ale szybko okazało się, że jest za późno. Nie miał sił i motywacji. Na dodatek przygniotła go śmierć ukochanej żony, nad którą opieka była sensem jego ostatnich lat. Pognębiła go jego własna choroba, a najbardziej chyba starość, z którą walczył przecież tak dzielnie.

W dzień śmierci miał skończone 90 lat. Od dawna na nią spokojnie czekał, ale spierał się z nią również skutecznie. Łatwo nie chciał się dać. Przyszła w końcu w szczególnym czasie, w jakim wszyscy żyjemy.

Kilka dni temu sięgnąłem po tom jego korespondencji z Jerzym Giedroyciem z lat 1957–1985 (NCK, Stowarzyszenie Instytut Literacki Kultura 2014). To uderzająca lektura. O zdolnościach epistolarnych Giedroycia wiemy niemal wszystko. Ale mało kto znał korespondencję Zdzisława Najdera. Jakaż lapidarność! Jakież trzeźwe oceny rzeczywistości. Co ciekawe, Najder nie sili się na wielkie diagnozy o świecie czy komunizmie. Prowadzi spokojną i rzeczową rozmowę o lekturach, twórcach, z którymi ma do czynienia, wspólnych znajomych. W latach 50. i później studiował i pracował naukowo na angielskich i amerykańskich uczelniach. To dawało mu dostęp do niemal wszystkich ważnych przedstawicieli intelektualnej Polonii.

Na drugą połowę lat 50. datuje się też początek współpracy z paryską „Kulturą” i osobiście z jej redaktorem. Ta relacja z Giedroyciem, początkowo dość z jego strony nieśmiała, potem intensywna, trwała do połowy lat 80. Wtedy to Zdzisław Najder, już dyrektor Radia Wolna Europa, ze współpracownika stał się dla Jerzego Giedroycia konkurentem. Nie bardzo podobało się to redaktorowi „Kultury”, więc relacje stawały się powoli chłodne, potem całkiem osłabły, bo o ile Giedroyc był w swoim Maisons-Laffitte jedynowładcą, o tyle Najder musiał podporządkowywać się linii wytyczonej dla RWE przez Amerykanów. Nie zawsze była to ścieżka Giedroycia, co wychodzi na marginesach korespondencji z lat 1983–1985.

Inna rzecz fascynuje. Skala współpracy i zaangażowania Jerzego Giedroycia w polski ruch dysydencki, zwłaszcza po zimie 1975/1976, kiedy Zdzisław Najder zakłada Polskie Porozumienie Niepodległościowe, pierwszą organizację/ruch/środowisko otwarcie postulujące narodową niepodległość i wyrwanie się spod politycznych skrzydeł Związku Sowieckiego. Giedroyc natychmiast angażuje się w zbiórkę pieniędzy, publikację materiałów autorstwa PPN, wsparcie w środowiskach emigracyjnych. Aż dziwi, jak duża część korespondencji między Najderem i Giedroyciem z tamtych lat dotyczy wsparcia materialnego dla PPN.

Swoistym fenomenem jest przede wszystkim sam PPN. Nigdy później nie było tak elitarnego środowiska. Udział w PPN deklarują Henryk Dembiński, Wojciech Karpiński, Andrzej Kijowski, Zdzisław Najder, Jan Olszewski, Jan Józef Szczepański, Jan Zarański. Stale współpracują m.in. Władysław Bartoszewski, Aleksander Gieysztor, Gustaw Herling-Grudziński, Józefa Hennelowa, Jerzy Holzer, Leszek Kołakowski, Marcin Król, Wiktor Kulerski, Stanisław Lem, Jan Józef Lipski, Jerzy Lerski, Tadeusz Mazowiecki, Andrzej Micewski, Wojciech Roszkowski, Wojciech Włodarczyk, Roman Zimand. To jedna z najbardziej wyrazistych ścieżek do wolności. Na równi z Komitetem Obrony Robotników czy nieco później Ruchem Młodej Polski i Konfederacją Polski Niepodległej preludium do sukcesu Solidarności z sierpnia 1980 r.

Stan wojenny zastał Najdera w Wielkiej Brytanii. Jan Nowak-Jeziorański zaangażował go wtedy do RWE. Najder został dyrektorem rozgłośni. Odważnym, nieco arbitralnym, znajdującym jakiś rodzaj balansu między interesem politycznym amerykańskiego patrona i zasłuchanymi w echa wolnego eteru Polakami. I wtedy odezwał się reżim Jaruzelskiego. Najder został oskarżony o szpiegostwo i skazany zaocznie na karę śmierci i przepadek mienia. Szczęśliwie zbrojne ramię socjalistycznej sprawiedliwości nie mogło go w Waszyngtonie i Monachium osiągnąć. Są natomiast ślady, że pod koniec lat 80. SB namierzyła jego dom pośród burgundzkich lasów w wiosce Lichères, możliwe, że w celu „wymierzenia sprawiedliwości ludowej”.

Wrócił do Polski po 1989 r., by doradzać Wałęsie i Olszewskiemu, a potem innym mocodawcom. W 2002 r. zdążył stanąć jeszcze na czele Klubu Weimarskiego. Ale czas jest nieubłagany. Był coraz starszy, coraz bardziej schorowany, coraz bardziej na uboczu. Bardzo przeżył wyciągnięcie na jaw historii jego rozmów z SB na przełomie lat 50. i 60. Sprawa „Zapalniczki” była dla jednych czystą perwersją, dla innych powodem do cichego wstydu. Gdy go o to pytałem, odpowiadał: „Jeździłem wtedy za granicę. Chcieli, bym inwigilował środowiska emigracyjne. To były głównie rozmowy związane z przyznawaniem paszportu. Nic wstydliwego nie powiedziałem”.

Wierzyłem Zdzisławowi. Całym swoim życiem dowiódł, po stronie jakich wartości stoi. Podobnie jak Leszek Moczulski i wielu innych. Wymuszone przez system chwile słabości w kontekście dorobku życia – co nie wszyscy rozumieją – nie mają większego znaczenia.

Rozmów o Josephie Conradzie pod koniec życia unikał. „Napisałem i powiedziałem już na ten temat wszystko. Nie zmuszajcie mnie do niepotrzebnych powtórzeń”. A jednak zmusiliśmy go. Jednego z ostatnich wywiadów udzielił redaktorom „Plusa Minusa”. Czyżby to był testament? Nie do końca. Jego testament jest rozproszony. Dotyczy również mojej osoby. Zapisał mi obowiązek odbycia dla niego pewnej sekretnej podróży w świat. Z bardzo konkretnym celem. Jest to cel szczególny i poufny. Tajemnicę zna jego wielki przyjaciel prof. R.K. Jak Bóg da, z obowiązku jeszcze w tym roku się wywiążę. I opiszę wszystko na łamach „Plusa Minusa”. ©©